

Węgajty: I każdy chce tu zostać

Kiedy tam przyjeżdżam wchodzę od razu w inny świat. Rozpoznaję zapach czadu wokół wielkiego, gorącego białego pieca z otwartym paleniskiem i natychmiast odczuwam zmianę czasu. Przestają liczyć się, tak ważne w Mieście minuty, kwadransy i godziny. Tu, w Węgajtach, ważne są pory dnia a może nawet tylko pory roku.

Wacław Sobaszek rozpoczynając dwa tygodnie temu spotkanie aktorów, muzyków, widzów i dziennikarzy w siedzibie Wiejskiego Teatru „Węgajty”, stwierdził, że listopad jest dobrą porą do organizacji seminariów. Przez dwa dni oglądaliśmy filmy, uczyliśmy się litewskiego menueta, oglądaliśmy znakomite przedstawienia teatralne, słuchaliśmy muzyki ludowej, jedliśmy gotówki z kaszą i soją, przygotowane przez sławną już w Polsce panią Pietrasiewiczową, rozmawialiśmy patrząc w ogień o podróżach do dalekich krajów, które tak naprawdę są i naszymi „bliższymi ojczyznami”, jeżeli pochylimy się nad nimi z uwagą.

Nawet więc listopad, ze swoimi nieodłącznymi akcesoriami w postaci przenikliwego wilgotnego wiatru, poszarzonymi polami, wymarłym, bezlistnym lasem i czarnym niebem bez księżycy nie mógł nam zrobić nic. Na chwilę staliśmy się wszyscy wspólnotą, niedostępną melancholią.

Antoni Saduła z Lutry, twórca tamtejszego religijnego teatru, komentując nasze wysiłki dorównania tancerzom z Litwy, powiedział, że nas nie rozumie, ale chyba na tym polega urok rzeczy niepotrzebnych.

ZWYCIĘSTWO TRAW

On sam zapowiada swój film o cmentarzach Warmii i Mazur. Tłumaczy się ze swojej obecności na ekranie, braku montażu i niedoskonałości technicznych. Ale po projekcji wszyscy biją brawo.

— Lutory to piękna ziemia — mówi pan Saduła z ekranu — i każdy chce tu zostać. Chociaż obrazy, jakie nam pokazuje, to przede wszystkim przykłady zniszczenia i opuszczenia. Płyty nagrobne tonące w bujności traw i zielska w zdziczałym ogrodzie w Ryńcu Reszelskim, siedemnastowieczne malowidło oparte o ścianę wiejskiego kościoła,

stary krzyż wyrzucony na wysypisko śmieci, potłuczone tablice upamiętniające żołnierzy poległych w pierwszej wojnie światowej. A przecież — dodaje narrator — są tu polskie nazwiska świadczące o obecności Polaków na Warmii i Mazurach.

Oglądamy grób czternastolatniej Warmiaczki, zamordowanej przez żołnierzy Armii Czerwonej. O dziwo, jej mogiła jest zadbaną. Ktoś przynosi tu kwiaty, chociaż już nikt nie pamięta jej imienia ani nazwiska. Widzimy też cmentarze rosyjskich i niemieckich żołnierzy, tak samo zarośnięte trawą. Pan Saduła komentuje to zwycięstwo roślin nad ludzkością: „Letnie trawy, wszystko co zostaje z marzeń żołnierzy”. I zaraz pyta tych, którzy nie zważają na powagę miejsca, pasą tu swoje krowy, czy piją takie mleko.

OCALONA BETLEJKA

O czasie minionym, pracownice odtwarzającym z okrucichów ocalałych gdzieś w ludzkiej pamięci, opowiada Aleksander Łoś z białoruskiego Mińska. Grafik i aktor przedstawia film wideo o betlejkach, czyli szopkach, prostej z pozoru formie ludowego teatru. Aleksander buduje według starych wzorów takie szopki, robi kukielki i występuje jako aktor, schowany za drewnianą szafę, gra na akordeonie i śpiewa. Towarzyszy mu szwagier. A to co oglądamy na ekranie jest zupełnie profesjonalne.

Aktorzy wcielają się w role króla Heroda, Diabła, Żyda, Śmierci, Żołnierza. Spektakl dzieli się na dwie części — pierwsza to opowieść sakralna o złym, próżnym i okrutnym królu, którego spotkała zasłużona kara. Druga jest zupełnie świecka — jej bohaterami są nie stroniący od kieliszka żołdaci i wrzaskliwa baba z miotłą. Pięknym elementem przedstawienia jest muzyka. Aktorzy wychodzą z szopki-arki i grają — nawet na kobzie.

Szopkowe przedstawienia były zakazane przez ministra oświecenia publicznego już za carów, a później w latach stalinowskich bezwzględnie tępienie. A był to szczególnie przykład bogactwa wyobraźni językowej i plastycznej. Jak piękna musiała być betlejka — teatr cieni, jak zabawna betlejka — modern Aleksander i jego szwagier starają się od dziesięciu lat odbudować i kultywować dawny zwyczaj. Występując w prywatnych domach i klubach. Aleksander, opowiadając o przeszłości, wspomina istniejącą w przedrozbiorowej Polsce akademię smorgońską, której „studentami” były niedźwiedzie, a przedmiotem wykładu tresura. Komentujemy z ironią, że był to jedyny polski wkład w kulturę i rozwój Kresów. Bo odkrywamy, jak mało o sobie wiemy, chociaż trudno o bliższe sąsiedztwo i wspólnotę losów.

Na tym polegają „Węgajty”. Na odkrywaniu — jak nazywa to Wacek Sobaszek — krajobrazu kultury. I chyba dlatego też uczymy się pod kierunkiem Eugenii Vemkauskaitė i Ritisa Ambrazeviciusa litewskiego menueta. W tym tańcu jest wiele powagi, dworności, powściągliwości i piękna. Tak jak w wycinankach Asty Veverskyte, których wzorem jest litewski krajobraz, tamtejsze jeziora, maki i osty, drzewa i ptaki. Kończy się mój dzień w Węgajtach. Tłum młodzieży jeszcze tańczy, gra muzyka, płonie przyjazny ogień, a ja wracam do miasta.

OJCZE NASZ KTÓRY JESTEŚ W NIEBIE

Seminarium jeszcze nie kończy się. Gościem Węgajt jest teatr „Wierszalin” z Białegostoku, którego przedstawienie „Turlajgroszek” zdobyło główną nagrodę na prestiżowym festiwalu w Edynburgu. I rzeczywiście jest niezwykle. Prosta bajkowa przypowieść, wywiedziona z ludowej tradycji, zaśpiewana i zagrana, jest czysta i doskonała w formie. Przejmująco prawdziwe jest przesłanie „Turlajgroszka” mówiące, że nawet w świecie bez miłości człowiek musi żyć w zgodzie z prawdą, nie lekceważąc sacrum. Manowiec prowadzi ku czarnej rozpacz i pustce. Nie ma w tym przedstawieniu żadnego fałszywego tonu — począwszy od czarnych, stylizowanych na wiejskie, ubrań wiejskich eleganatów, prostej drewnianej scenografii, cerkiewnej muzyki polsko-białoruskiego pogranicza, świetnego aktorstwa do zwrócenia uwagi na dźwięk, grubociosanych kukiel. Kiedy więc ze sceny padają słowa modlitwy „Ojcze nasz” na widowni zapada nieprawdopodobna cisza, jakby dopiero tu,

w teatrze, dotarł do nas wszystkich sens jej słów, jakbyśmy odczuli jej zbawienną moc. Teatr stał się miejscem wtajemniczenia i wspólnoty, mistycznego zawierzenia. Na chwilę.

Drugie przedstawienie Wierszalina „Merlin” — pokazane, jak i poprzednie, w Teatrze im. Jaracza opowieść o idealnym królestwie Brytanii za czasów króla Artura, nie ma już siły, urody i czystości „Turlajgroszka”. Nasycone odniesieniami do średniowiecznych symboli — siedem zabitych potworów nosisi łacińskie imiona siedmiu grzechów głównych — nuży powtórzeniami i nie wnosi nic nowego do historii rycerzy poszukujących świętego Graala. Streszczona zaledwie opowieść jest wewnętrznie pusta i pretensjonalna. W przedstawieniu jest tylko jedna przejmująca scena, gdy na stosie płonie żywym em kukla królowej Ginewry. Idealne królestwo Brytanii rozpada się w proch, postarzały Merlin pogrąża się w letargu. Nawet stylizowany na gregoriańskie responsorium śpiew wychodzi aktorom gorzej. Trudno, cuda nie chcą się powtarzać. Nawet w teatrze.

Podczas seminarium wystąpił również węgierski lutnista Andras Kecskes. Uczono się także tańców sumeryjskich!!! Miasto nie pozwoliło mi dostrzec wszędzie. Ale Wacek Sobaszek mówi, że wiosna to też dobra pora na urządzenie seminarium.

Ewa MAZGAŁ